

AMERYKANIE NIEPRZYGETOWANI NA ROSYJSKIE MANIPULACJE W WYBORACH 2020 [OPINIA]

Amerykanie nie wyciągnęli odpowiednich wniosków z wyborów w 2016 roku i są nieprzygotowani na obcą interwencję w następnym wyborze prezydenckim. Społeczeństwo jest niezwykle podzielone, a przez to jest łatwym celem działań dezinformacyjnych.

Niedawno prezydent Rosji Władimir Putin poinformował – wyglądało to na żart – że Rosja zamierza wtrącić się w wybory prezydenckie w USA w 2020 roku. Na pytanie dziennikarza o zaniepokojenie wyrażane przez niektórych amerykańskich urzędników, odparł bowiem: – Tak, na pewno to zrobimy. Tylko proszę nikomu nie mówić.

Dla Putina to niezły dowcip, ale ekspertom i analitykom w Stanach Zjednoczonych nie jest do śmiechu. Wiedzą oni bowiem doskonale, że Rosja rzeczywiście toczy dziś wojnę informacyjną przeciw USA. Jej celem jest zaburzenie demokratycznych procedur za oceanem, a to potrwa przez całą kampanię prezydencką w 2020 roku. O rosyjskiej ingerencji traktuje też opublikowany w tym miesiącu raport jednej z komisji amerykańskiego Senatu. Potwierdza on wnioski marcowego raportu autorstwa specjalnego prokuratora Roberta Muellera. Senackie śledztwo po raz kolejny wykazało, że działania wspierane przez Rosjan miały wpływ na wynik wyborów prezydenckich w 2016 roku. Jakby tego było mało, raport stwierdza, że powiązana z Kremlm aktywność w mediach społecznościowych nie maleje, a rośnie od dnia poprzednich wyborów przed trzema laty.

Pytanie brzmi: czy podczas wyborów w 2020 roku Amerykanie będą na to lepiej przygotowani niż w 2016? W poszukiwaniu odpowiedzi odwiedziłem St. Louis i Chicago podczas mojej niedawnej wizyty studyjnej w USA. Zamierzałem się dowiedzieć, co na temat rosyjskiej dezinformacji sądzą mieszkańcy amerykańskiego Środkowego Zachodu. Opinie płynące z Waszyngtonu są owszem, istotne, wszelako interesowało mnie zdanie Amerykanów mieszkających z dala od ośrodków władzy.

Z moich badań wynikało, że – niestety – nie poświęcają oni tej sprawie zbyt wielu myśli. Choć dowody na rosyjskie manipulacje zawarte w raportach Muellera i senackim są niezbitym, mieszkańcy USA są w tej sprawie podzieleni. Nic dziwnego, skoro prezydent Donald Trump podważa wyniki śledztw i nazywa je fake newsami, a jego twardy elektorat jest szczególnie liczny właśnie na Środkowym Zachodzie i Południu.

To nie wszystko. Richard Farkas, wykładowca nauk politycznych na Uniwersytecie De Paul w Chicago, w rozmowie ze mną stwierdził, że świadomość dotycząca rosyjskiej ingerencji jest stosunkowo wysoka. Problem w tym, że to zagadnienie nabrało charakteru politycznego i polaryzującego: nie jest już widziane jako kwestia bezpieczeństwa. A to, według mojego rozmówcy, jest niebezpieczne: części Amerykanów już nie niepokoi, że Rosja – bądź ktokolwiek inny – wywiera wpływ na życie polityczne w USA. Niedawno otrzymaliśmy tego dowód: amerykańska opinia publiczna jest podzielona w ocenie skandalu, który wybuchł, kiedy wyszło na jaw, że Donald Trump usiłował zmusić nowego prezydenta Ukrainy, Władymira Zełeńskiego, do wszczęcia śledztwa wobec Huntera Bidena (syna Joe Bidena,

obecnego lidera Demokratów w wyścigu o Biały Dom). Tylko niewiele ponad połowa Amerykanów sądzi, że Trump powinien być za to zrezygnować z urzędu.

Farkas ocenia, że amerykańskie społeczeństwo nigdy nie było bardziej podzielone niż dziś. Taka polaryzacja, jak mówi, nadmuchała bańki informacyjne, które są od siebie tak odległe, jakby należały do różnych rzeczywistości. W takich warunkach łatwo manipulować opiniami, zaprzeczać faktom i zniekształcać obraz prawdy.

Widać to jak na dłoni: rosyjska dezinformacja czerpie swoją skuteczność właśnie z dużej polaryzacji, zwłaszcza na tematy społeczne i rasowe. Stwierdza to ostatni senacki raport, a we wnioskach do niego można przeczytać, że „żadna inna grupa nie była obiektem ataków w stopniu większym niż Afroamerykanie. Nie ulega wątpliwości, że rasa i związane z nią problemy stały się ulubionym narzędziem w wojnie informacyjnej, prowadzonej w celu pogłębiania podziałów w społeczeństwie”.

W podobnym tonie wypowiada się New Knowledge, prywatna firma wyspecjalizowana w badaniach na temat cyberbezpieczeństwa. Opublikowany przez nią w zeszłym roku raport dowodzi rosyjskich manipulacji w wyborach i podkreśla „stałe i celowe zorientowanie na czarnoskórych Amerykanów (...) aby obniżyć zaufanie do stróżów prawa i instytucji politycznych, jednocześnie promując pozornie autentyczne narracje wokół dumy z bycia czarnym”.

Do tej pory nie ukazała się po polsku książka Kathleen Hall Jamieson pod tytułem *Cyber-War: How Russian Hackers and Trolls Helped Elect a President* [Cyberwojna. Jak rosyjscy hakerzy i trolle przyczynili się do wyboru prezydenta]. Szkoda, bo Jamieson, uznana badaczka mediów i społeczeństwa, prezentuje w niej szczegółowy obraz rosyjskiej ingerencji w 2016 roku. Przekonuje – słusznie – że poprzez dezinformację i wynikające z niej chaos i zwątpienie, rosyjski rząd chce podkopać wiarę w demokrację. Dla Kremla to istotniejsze niż zwycięstwo konkretnego kandydata.

Czy zatem nauczyliśmy się czegoś od 2016 roku? Według Ivo Daaldera, dyrektora think tanku Chicago Council on Global Affairs, materiał do nauki, owszem, jest, ale decydenci w USA robią za mało, by w 2020 uniknąć powtórki. – Należałoby oczekiwać, że niezależnie od podziałów politycznych dotyczących przyszłego zwycięzcy wyborów, w tej jednej sprawie w naszym państwie powinna panować zgoda – oświadczył. – W wyborach decydują obywatele USA, a nie podmioty zagraniczne. Mimo to Kongresowi nie udało się przyjąć ustaw wzmacniających nasz system wyborczy – podkreślił. Toteż, w opinii Daaldera, ingerencja w przyszłoroczne wybory prezydenckie będzie dla Rosjan względnie łatwa, a wyborcy nie są na takie działania gotowi.

Adam Reichardt jest redaktorem naczelnym New Eastern Europe. Jest Amerykaninem mieszkającym w Polsce i członkiem zespołu Disinfo Portal, tworzonego przez Atlantic Council.

Z angielskiego przełożył Aleksander Szojda-Pallado

Niniejszy tekst powstał dzięki współpracy z Fundacją im. Heinricha Bölla w Warszawie w ramach programu stypendialnego dla dziennikarzy Transatlantic Media Fellowships. Zawarte w nim poglądy i konkluzje nie muszą odzwierciedlać oficjalnego stanowiska Fundacji im. Heinricha Bölla.